

# DENISE HUNTER

WODOSPAD

## *Wildflower*

ROMANS W RIVERBEND

d



WODOSPAD  
*Wildflower*



DENISE  
HUNTER

Tłumaczenie: *Joanna Olejarczyk*

**Tytuł oryginału:**

*Wildflower Falls*

**Autor:**

Denise Hunter

**Tłumaczenie z języka angielskiego:**

Joanna Olejarczyk

**Redakcja:**

Agata Tokarska

**Korekta:**

Dominika Wilk

**Skład i opracowanie graficzne:**

Anna Brodziak

Projekt okładki: © Kara Klotz Design, © Thomas Nelson, HarperCollins  
Christian Publishing Inc.

Zdjęcia na okładce: © Shutterstock, © iStock,  
Gavin Spear / Unsplash.com

Wektory: freepik / Freepik.com

ISBN 978-83-66977-82-2

© 2023 by Denise Hunter by Thomas Nelson, HarperCollins Christian Publishing Inc.

© 2023 for the Polish edition by Dreams Wydawnictwo

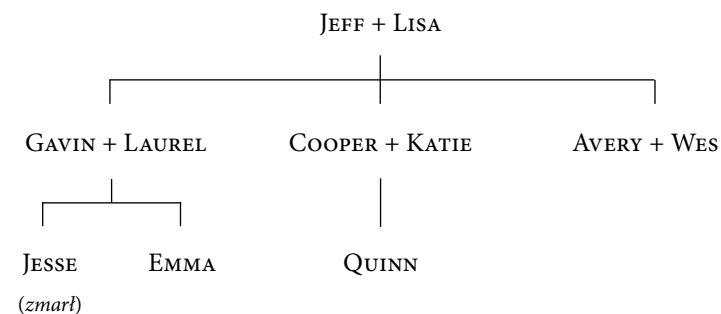
Dreams Wydawnictwo Lidia Miś-Nowak  
ul. Unii Lubelskiej 6A, 35-016 Rzeszów  
www.dreamswydawnictwo.pl

Rzeszów 2024, wydanie I

Druk: OZGraf

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część tej publikacji nie może być reprodukowana,  
przechowywana jako źródło danych, przekazywana w jakiegokolwiek mechanicznej,  
elektronicznej lub innej formie zapisu bez pisemnej zgody wydawcy.

## DRZEWO RODZINNE ROBINSONÓW



## ROZDZIAŁ PIERWSZY



Charlotte Simpson nigdy wcześniej nie śledziła żadnego mężczyzny. Owszem, przyznawała, że tropiła w mediach społecznościowych byłego partnera, a może nawet dwóch. A pewnego razu jeszcze w szkole średniej czaiła się w samochodzie przed domem swojego chłopaka, żeby zobaczyć, czy Mindy Miller naprawdę wpadła do niego tylko po to, by przynieść brownie dla jego chorej matki. (Wcale nie).

Jednak nigdy wcześniej nie zniżyła się do takiego poziomu, aby obserwować kogoś z okna stajni z gumowymi otoczkami okularów lornetki przytkniętymi do oczodołów. Przekręciła pierścień regulacji ostrości. Gavin Robinson szedł w stronę wyrównanego prostokątnego terenu, na którym wkrótce miała powstać jej nowa stajnia. Miał na sobie wytarte dżinsy, poplamione... Czym? Poprawiła ostrość. Farbą? Tynkiem? Czymś budowlanym...

Przykucnął, badawczo przyglądając się stopom fundamentowym po zachodniej stronie placu.

Rogue zarżał cicho na pastwisku za oknem, chcąc zwrócić jej uwagę. Ale ona nie mogła oderwać oczu od człowieka

sto metrów dalej. Dopasowała lepiej okulary lornetki. Gavin postarzał się, odkąd ostatnio go widziała. Nic dziwnego; nie miał łatwego życia.

Skończył szkołę wcześniej niż ona... Chyba z osiem lat? W takim razie miał jakieś... trzydzieści pięć. Charlotte była bliższa wiekiem jego siostrze Avery, która chodziła do klasy maturalnej, gdy Charlotte zaczynała liceum. Ich brat Cooper też ukończył szkołę wcześniej.

Nigdy nie obracali się w tych samych kręgach, ale wszyscy znali Robinsonów. Ich rodzina cieszyła się w społeczności nienaganną opinią. Trzymali się razem na dobre i na złe i zawsze byli gotowi do pomocy. Avery prowadziła klinikę w Riverbend, Cooper był szeryfem hrabstwa, a Gavin miał firmę budowlaną, którą Charlotte zatrudniła do wybudowania stajni. Kiedy weszła do jego biura na drżących nogach w tamto ciepłe kwietniowe popołudnie, miała nadzieję osobiście z nim współpracować. Ale tamtego dnia w biurze był jego partner i szwagier Wes Garret i sam przyjął ten projekt.

Tak więc teraz patrzyła na Gavina pierwszy raz od czasu swojego „wielkiego odkrycia”.

Wstał, najwyraźniej zadowolony z pracy podwykonawcy, i nie robił nic ciekawego, tylko chodził wokół prostokątnego placu budowy. Ale skoro pierwszy raz miała okazję poobserwować go z bliska...

*Poobserwować.* Tak, to słowo bardziej się jej podobało.

Postanowiła, że gdy tylko zbierze się na odwagę, podejdzie do niego i porozmawia z nim o projekcie. Serce waliło jej w piersi jak u źrebiącej się klaczy. Powie mu, że stopy fundamentowe wyglądają dobrze (jakby się na tym znała).

Zapyta go, co będzie dalej i jaki jest plan robót, chociaż Wes już wszystko dokładnie jej wyjaśnił.

Gavin stał na wielkiej, otwartej przestrzeni z górami rysującymi się w tle, więc trudno było dokładnie ocenić jego wzrost, ale był wysoki – miał co najmniej metr osiemdziesiąt. Był opalony w wyniku długich godzin spędzonych na słońcu i postawny, jak przystało na budowlańca. Jego czarne włosy były krótsze niż pamiętała, choć na tyle długie, by ciepły majowy wiatr mógł się nimi pobawić.

Zmrużyła oczy, skupiając wzrok na jego twarzy, starając się sobie przypomnieć kolor jego oczu, bo nawet przez lornetkę trudno było dostrzec z tej odległości. Były osadzone głęboko pod ciemnymi brwiami. Był gładko ogolony i miał ostre rysy.

Każdy, bez względu na standardy, uznałby go za przystojnego ze względu na jego proporcjonalną twarz i atletyczną budowę ciała. Ale jej to nie obchodziło. To nie ze względu na atrakcyjny wygląd studiowała go jak pod mikroskopem. To przez jego geny.



*Riverbend wita! Najlepsze miasteczko na Szlaku Appalachów.*

Gunner Dawson z warkotem minął na swoim harleyu-davidsonie powitalny szyld i pochylił się na zakręcie. Jechał dalej dwupasmową drogą prowadzącą przez most na rzece French Broad, a po chwili wjechał do samego miasteczka i zwolnił.

Wzdłuż głównej ulicy stały stare sklepy i lokale usługowe: sklep z narzędziami, kawiarnia, salon kosmetyczny

Beauty Barn, restauracja Iron Skillet, delikatesy Grab'n'Go. Te ostatnie przywiodły mu na myśl smakowite wspomnienie świeżo pieczonego chleba tak grubo obłożonego salami i topionym serem, że aż pociekła mu ślinka.

Było słoneczne sobotnie popołudnie. Mieszkańcy chodzili w górę i w dół ulicy, jedli w restauracyjnych ogródkach i odpoczywali na zacienionych ławkach. Turyści, którzy zeszli z gór, dający się poznać po plecakach i przepoconych koszulkach, wchodzili do sklepu Appalachian Outfitters, bez wątplenia po to, by uzupełnić sprzęt i prowiant.

W skrócie – miasteczko wyglądało dokładnie tak samo, jak ostatnim razem, kiedy tu był. Rok temu zszedł ze szlaku w poszukiwaniu domowego posiłku i porządnego łóżka. To samo przydałoby mu się dzisiaj, bo czterogodzinna podróż zmieniła się w sześciogodzinną z powodu robót na drodze 75 i wypadku na drodze numer 40.

Kiedy dotarł na drugi koniec miasta, przyspieszył i jechał drogą wiodącą wzdłuż krętej rzeki. Minął pole kempingowe i kilka innych lokalnych firm: klinikę, dom handlowy i kwiaciarnię, wszystkie z siedzibami w starych budynkach. Dotarł wreszcie na obrzeża miasta, gdzie domów było coraz mniej, a działki rozciągały się coraz dalej w doliny i na pagórki.

Rozmowę kwalifikacyjną miał dopiero jutro, ale nie mógł się oprzeć, by jeszcze raz nie rzucić okiem na urocze rancho, na którym miał nadzieję zostać zatrudniony. Poprzednio pracował jako jeden z wielu trenerów w dużej stadninie i był gotowy na nowe wyzwanie. Na coś mniejszego. A to śliczne miasteczko ukryte pośród szczytów Appalachów doskonale się do tego nadawało. Zapach sosen i skoszonej trawy kusił jego zmysły, a wzrok cieszyła panorama

majestatycznych błękitno-zielonych gór. Tak, mógłby tu zamieszkać na jakiś czas.

Daleko na wprost jego oczom ukazał się skromny drewniany szyl: „Rancho nad Wodospadem Wildflower”. Dotarł do wysypanej żwirem drogi dojazdowej i skręcił w nią. Nie zaszkodzi sprawdzić. Może nawet dzisiaj załatwi tę rozmowę kwalifikacyjną i będzie mógł zacząć szukać czegoś do wynajęcia. Nie miał dużych potrzeb. Łóżko i aneks kuchenny. Węzeł sanitarny byłby mile widziany.

Podjazd wił się między ogrodzonymi pastwiskami w stronę piętrowego domu. Za nim, po lewej stronie, stał czerwony budynek gospodarczy. Kiedy przejeżdżał obok, przyglądała mu się gniada klacz, a jej źrebak odszedł w stronę kępki drzew.

Po chwili zaparkował za beżowym tahoe i wyłączył silnik. Zszedł z maszyny i zdjął kask, czując wszystkie mięśnie grzbietu. Przeciągnął się. Nie miał już dwudziestu pięciu lat. Właściwie to ten kamień milowy Gunner minął już dekadę temu, chociaż wydawało mu się to niemożliwe.

Ciszę przerwało popiskiwanie wiewiórki. Lekki wiatr szepotał w koronach drzew i schłodził mu kark. Zerknął na swój ubiór: szara koszulka, znoszone dżinsy, wysokie buty. Trochę brudne, ale przecież będzie ujeżdżał konie, a nie siedział za biurkiem.

Wystarczyły dwa duże kroki i znalazł się na frontowym ganku. Zapukał zdecydowanie w drewnianą ramę zewnętrznych drzwi z moskitierą i czekał. Ładny dom, choć stary. Ktoś o niego dbał. Poręcze na ganku były świeżo pomalowane na biało, a krzesła czyste, jakby tylko czekały, aż ktoś na nich usiądzie.



Kiedy drugie pukanie nie przyniosło efektów, zszedł ze schodków i skierował się w stronę stajni. W oddali za czerwonym budynkiem stał zaparkowany denali. Pani Simpson, którą spotkał poprzedniego lata, a ostatnio wymienił z nią kilka maili, na pewno doglądała koni.

Przeszedł zaniechaną ścieżką, z której widać było pagórkowate pastwisko za stodołą, ograniczone stromym zboczem góry. Nieopodal pasło się kilka koni: kasztan, izabelowaty i gniady – wszystkie miały zdrową, błyszczącą sierść. Z nadstawionymi uszami i łagodnym spojrzeniem odwróciły się w jego stronę, kiedy się zbliżył.

Gunner wszedł przez otwarte drzwi do stajni i odczekał sekundę, aż jego oczy przyzwyczają się do ciemniejszego pomieszczenia. Otworzył usta, żeby zawołać, ale zaniemówił na widok tego, co ujrzał na drugim końcu.

Przy oknie stała drobna kobieta i obserwowała coś przez lornetkę.

- No dalej... Odwróć się.

To nie była ta sama kobieta, którą spotkał zeszłego lata. Przede wszystkim była od niej dużo młodsza. Za oknem jakiś mężczyzna robił inspekcję terenu, który wyglądał na plac budowy nowej stajni. Pomyślał, że to chyba nie jej mąż, bo nie miałaby powodu, żeby go szpiegować.

Odchrząknął.

Kobieta pisnęła, uderzyła głową w ramę okna i gwałtownie się odwróciła. Lornetka spadła na ziemię. Jej szeroko otwarte zielone oczy spoczęły na Gunnerze.

- Przepraszam, nie chciałem pani wystraszyć.

Przycisnęła dłoń do klatki piersiowej, a jej policzki ładnie się zarumieniły.

- Ja tylko... sprawdzałam, czy... eee... - Odsunęła nogą lornetkę na bok i zacisnęła usta. - Tam był taki... no wie pan... Ale w czym mogę panu pomóc? Jest pan zainteresowany oddaniem konia do naszego pensjonatu?

Ledwo udało mu się powstrzymać od uśmiechu. Wydawała mu się słodka, kiedy była taka zmieszana. Nikt nie rumienił się tak jak rudzielce.

- Gunner Dawson - przedstawił się. - Jestem umówiony na jutro z panią Simpson, ale przyjechałem do miasta wcześniej. Pomyślałem, że wpadnę i zobaczę stajnię. Czy zastałem panią Simpson? - A potem, nie mogąc się powstrzymać, spuścił wzrok na lornetkę. - Czy przyjechałem nie w porę?

Róż jej policzków się pogłębił. Potarła kark.

- Ależ nie, w porządku. Powinam była wspomnieć w mailu, że moja mama, którą poznał pan zeszłego lata, zmarła w sierpniu ubiegłego roku. A więc spotkanie ma pan ze mną.

Wszelkie ślady rozbawienia z niego uleciały.

- Przykro mi to słyszeć. Była taką miłą osobą.

- To prawda. - Podniosła lornetkę i podeszła do niego, wyciągając rękę. - Możesz mi mówić po imieniu, jestem Charlotte. Oprowadzę cię.

Podał jej dłoń. Nie uszło jego uwadze, jak mocno ją uścisnęła. Zauważył też maleńki dołeczek w jej podbródku.

- Jeśli to nie kłopot, byłoby wspaniale.

- Żaden problem.

Rudobrzazowe fale włosów opadały na jej barki, zielone tęczyówki miały czarną jak węgiel otoczkę, a idealnych proporcji nos zdobiły piegi. Była ubrana w strój roboczy: wysokie buty, dżinsy i czarny top bez rękawów z małymi marszczeniami.



Kiedy prowadziła go przez stajnię, jego wzrok przykuły jasne piegi na musniętych słońcem ramionach.

Miała południowy akcent, słodki jak mrożona herbata w upalny letni dzień. Gunner nigdy wcześniej nie pracował dla kogoś młodszego od siebie, ale kiedy słuchał, jak Charlotte opowiada mu o swoim ranczu, było dla niego jasne, że jest w dobrych rękach.

Zadawała dobre pytania i okazało się, że są zgodni co do filozofii trenowania koni. W przeszłości Gunner stosował tradycyjne metody, kiedy wymagali tego jego pracodawcy, ale wolał naturalne podejście, które opierało się na psychologii, komunikacji i zrozumieniu.

Kiedy rozmawiali, Charlotte kilka razy obejrzała się przez ramię, by zerknąć na tamtego mężczyznę w oddali. To jej pracownik? Kochanek? Ofiara stalkingu?

Skinął głową w stronę placu.

- Twoja nowa stajnia?
- Będzie ukończona na początku lipca.
- Wygląda na o wiele większą niż obecna.
- Będzie prawie dwa razy większa. Z betonowymi podłogami i boksami o wymiarach trzy i pół na trzy i pół. Tamten człowiek to właściciel firmy budowlanej. – Kolejny rumieniec.

Interesujące.

Chwilę później zakończyli obchód przy okrągłym padoku. Gunner uniósł nogę, oparł kowbojski but na najniższej żerdzi i kontynuowali rozmowę. Pensjonat dla koni był częścią działalności stadniny od dwudziestu dwóch lat i Charlotte planowała rozszerzyć ofertę o tresurę koni i przejażdżki pobliskim szlakiem.

- Musimy przekształcić to miejsce w maszynę do zarabiania pieniędzy, jeśli chcemy je utrzymać. I zdecydowanie zamierzam to zrobić. Strona internetowa jest prawie gotowa. Dużo ludzi w okolicy ma własne konie i już mamy listę klientów, których zwierzęta wymagają trenowania. Niektórzy z nich mają też drobne problemy do pokonania. Na treningu można dobrze zarobić, na pewno o tym wiesz. I nikt inny w dolinie nie oferuje jazdy szlakiem, więc myślę, że to będzie hit. Mamy tu sporo turystów, którzy przyjeżdżają w góry, na spływ rzeką i inne aktywności na świeżym powietrzu. Ranczerzy w innych turystycznych miejscowościach mają duże dochody z przejażdżek konnych.

- Twój plan brzmi sensownie.

Odrzuciła się do niego i jej włosy błysnęły w słońcu jak wypolerowana miedz.

- Mam jeszcze jedno pytanie, dla jasności. Zawodowo jeździsz po kraju i trenujesz konie?

- W dużym skrócie tak.

- Twoje CV jest imponujące i masz świetne rekomendacje. Ale na pewno masz świadomość, że praca w tym miejscu ma wolniejsze tempo niż to, do jakiego przywykłeś. I zapewne jest słabiej płatna.

- Domyślam się.

Ale to ranczo było spełnieniem jego nadziei. Znał stadniny, w których nie traktowano koni humanitarnie. Zwierzęta były tylko środkiem do osiągnięcia celów. A wystarczyło spojrzeć na konie Charlotte, by jej troska o ich zdrowie i szczęście stawała się oczywista. Konie wyglądały na zrelaksowane, miały błysk w oczach, leniwie wachlowały ogonami. Troszczyły się o siebie nawzajem na pastwisku i rżały

cicho, kiedy Charlotte do nich podchodziła. To wszystko były dobre znaki.

- To nie jest dla ciebie problem?

Wcześniej omówiła ze szczegółami plan rozwoju działalności biznesowej rancza i opowiedziała o swojej pasji, która była potrzebna, by przenieść interesy na wyższy poziom. W takim miejscu i z taką osobą bardzo chciał pracować.

- Byłem już zatrudniany w stadninach różnych rozmiarów i nie potrzeba mi wiele. Jestem prostym człowiekiem. I jestem gotowy na nowe wyzwanie... I na zrzucenie mundurka.

Jej oczy błysnęły.

- Czyżbym zapomniała wspomnieć o białych koszulkach polo?

- Miło było cię poznać. – Odwrócił się, jakby chciał odejść.

Jej śmiech sprawił, że stanął jak wryty. Jakby wpadł w sidła. Śmiała się tak beztrósco.

- Ale koszulki są takie ładne, mają logo i w ogóle. A nasze brązowe bryczesy są naprawdę wygodne.

Nie umiał się powstrzymać, żeby nie odwzajemnić jej uśmiechu. Zapłonął między nimi żar i utrzymał się przez chwilę. Mądra jak koń, słodka jak cukierek i jeszcze do tego z poczuciem humoru. Jeśli to nie było idealne połączenie cech u kobiety, to nie wiedział, co mogłoby nim być.

Szkoda, że go pociągała, bo miała być jego szefową. Ale uznał, że poradzi sobie z pokusą. Był zdyscyplinowanym człowiekiem. A ona najwyraźniej była zabujana w pewnym budowląncu.

Przechyliła głowę, przyglądając mu się uważnie.

- Właściciel Four Winds nazwał cię zaklinaczem koni.

- E tam. Po prostu jestem uważny. Konie umieją dużo przekazać, jeśli je obserwujesz i ich słuchasz. – Zerknął przez ramię. O wilku mowa... – Twój budowlaniec tu idzie. Może lepiej już sobie pójść.

- Nie! – Popatrzyła ponad jego ramieniem i zacisnęła wargi. – To znaczy... lepiej zostań, bo wiesz... Gavin będzie tu często tego lata. Powinieneś go poznać.

- Jasne. – Gunner spojrział na nią podejrzliwie. Czy to znaczy, że dostał tę pracę?

Nie miał czasu roztrząsać tego tematu, bo facet, o którym rozmawiali, znalazł się obok. Podeszedł pewnym krokiem, jak ktoś, kto wie, kim jest. Był ubrany w T-shirt z logo firmy i miał serdeczny wyraz twarzy. Gunner spuścił wzrok wzdłuż jego ręki – i zauważył srebrną obrączkę na jego serdecznym palcu.